

– Jolu, zacznę od gratulacji z okazji przyznania ci prestiżowej nagrody – „Zielonego czeku” przez Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach. Czytałem pisma rekomendujące cię do tego wyróżnienia, to były prawdziwe laudacje na temat twojej działalności w dziedzinie popularyzacji ekologii, edukacji ekologicznej, integrowania środowiska dziennikarskiego zajmującego się tą tematyką... Wszystkiego nie zdołałem wyliczyć. Dlatego zdziwiło mnie, że tę nagrodę dostałaś dopiero po 35 latach.

– Mnie zdziwiło to, że ją w ogóle dostałam. Wcześniej miałam sporo nagród, ale przyznawanych z Warszawy. Może dlatego, że tu, na Śląsku zawsze się komuś narażałam, bo pisanie o ekologii bardzo często wiąże się z zadawaniem niewygodnych pytań, z krytykowaniem różnych instytucji. Zresztą już po transformacji musiałam przez publicystykę ekologiczną odejść z *Trybuny Robotniczej*, bo się narażałam swojemu kierownictwu. Ale – jak mówią – „co cię nie zabije, to cię wzmocni”, więc działałam do dziś.

– A ja myślałam, że musiałaś czekać, bo byłaś za spokojna – nie przykuwałaś się łańcuchami do drzew, nie zatrzymywałaś pociągów...

– Wykonywałam swoją dziennikarską robotę. Ale – jeśli już zacząłeś mówić o ekologach, którzy ze względu na formy protestu nie mają dobrej opinii, to uważam, że takie ostre działania także są potrzebne. Dlatego, że często do ludzi nie docierało, jak bardzo jest źle. Weźmy słynną sprawę Rospudy. Projekt, który był zamachem na tamtejszą przyrodę, powstał 15 lat temu. Tyle czasu mieli decydenci, żeby go zmienić. Nie zrobili nic, więc trzeba było tej akcji przykuwania się do drzew. A tak na marginesie: wśród ekologów prawdziwych, nawet tych wojowniczych, ale i naukowców, nie spotkałam przez te 35 lat ludzi, na których bym się zawiodła. Mam wśród nich przyjaciół, wielu nazywam swoimi profesorami.

– Zaczynałaś w połowie lat 70. A to nie był najlepszy czas na pisanie o środowisku. Prawdę wtedy raczej ukrywano.

– Przeżyłam nawet wesołą przygodę z tym związaną. W redakcji wytypowali mnie do zajęcia się ekologią, bo nie chciałam się do partii zapisać. I kazali mi pojechać do Huty „Katowice”, żeby napisać o tym, jak razem z hutą rosną lasy, że tam je sadzą. Wtedy było fajnie, bo był do dyspozycji samochód i kierowca... Więc pojechaliśmy. Najpierw zobaczyłam mnóstwo „ruł”, ogrom błota, pełno jakichś śmieci, porzuconych buciorów, można się było przestraszyć. Ale chodzę tam, chodzę, nagle zobaczyłam jakiegoś człowieka, więc pytam: „Proszę Pana,

Z JOLANTA
MATIAKOWSKĄ,
publicystką zajmującą się
ekologią, rozmawia
BOGDAN WIDERA



Las pod hutą i Rawa river

gdzie tu sadzą lasy?” A on mi na to: „Proszę Pani, oni wszystkie wycięli!”

– Ale tego by ci cenzura nie puściła.

– Napisałam, że w miejsce wyciętych pod inwestycję drzew sadi się nowe (to był fakt, ale ilość tych sadzonek i obszar, na którym one miały rosnąć, to nie była nawet jedna dziesiąta tamtych lasów). Tak zaczynałam. Potem napisałam jeden, drugi tekst. Ale przede wszystkim tak sobie chodziłam, jak Jasio Wędrowniczek, po wszystkich moich zaprzyjaźnionych ekologach (bo ja się zaraz zaprzyjaźniałam) – naukowcach, przedstawicielach administracji, dyrektorach wydziałów ochrony środowiska, więc dużo wiedziałam, a bardzo mało mogłam napisać. Zaprzyjaźniłam się wówczas z młodymi naukowcami w Instytucie Ekologii Terenów Uprzemysłowionych. Oni akurat badali skażenie gleb na Śląsku. Wtedy panowała opinia, że dobrze mieć działkę, swoje warzywa, zwłaszcza dla dzieci. Wiadomo, że ważne są dla nich witaminy. Ze względu na małe dzieci temat mnie mocno zainteresował. Po tych badaniach, których wyniki były porażające, napisałam tekst, żeby ludzi jakoś ostrzec. Posłałam z nim do mojego kierownika i mówię: „Jurek, bardzo bym chciała, żeby to poszło”. Przeczytał, zaklął i powiedział: „To oni

nas jeszcze trują!”. Znał się na tych wszystkich podchodach z cenzurą, tekst zesłał w ostatniej chwili i tak „poczarował”, że się ukazał. Mało tego, tłustą czcionką wybił tytuł: Trucizna z ogródków działkowych. To było jakieś zwycięstwo. Profesor Ewa Marchwińska z tego zespołu, podobnie jak ja, dwie noce nie spała, bo nie wierzyła, że ten tekst się ukaze. Z tego zrobił się szum, zmobilizowali się działkowcy, kontaktowali się z naukowcami, podjęto działania. Dziś wiedza na ten temat jest prosta jak dwa razy dwa równa się cztery.

– Czyli obudziłaś świadomość ekologiczną,

– Wiesz, kiedy powietrze na Śląsku było nie tylko czuć, ale i widać – ludzie się buntowali. Myślę, że z tą świadomością dziś jest gorzej niż kilkanaście lat temu. Teraz się goni za pieniędzem.

– Nadzieja w dzieciach?

– Dzieci, nawet przedszkolaki są fantastyczne. Niestety, po maturze zaczynają mieć inne ważne sprawy.

– Najważniejsze tematy?

– Bardzo długo nosiłam się z tekstem o ołowicy wśród śląskich dzieci spod hut metali nieżelaznych. Jeszcze w latach 70. pani profesor Bożena Hager-Małecka zabiegała o to, żeby coś w tej sprawie zrobić. Współpracująca z nią dr Jolanta Król, lekarz pediatrii, w prowizorycznym laboratorium przebadła zagrożone dzieci z Szopienic. Przekonała się jak bardzo jest źle. O chorobie wiedzieli mieszkańcy Szopienic, Miasteczka Śląskiego, wiedzieli lekarze, ale wyniki badań były ukrywane. Trafiłam do człowieka, który je miał w sejfie, pokazał mi je z daleka, mówię: „Ja z daleka nie widzę, niech pan mi je pokaże z bliska, nie zdradzę pana”. Nie pokazał, ale powiedział, kto jeszcze je ma. I tę drugą osobę udało mi się tak „spacyfikować”, że pewne rzeczy nawet zdołałam zanotować. Tak powstał tekst *Choroba*, która zaistniała nieoficjalnie (ze względu na cenzurę nie użyłam w tytule słowa „ołowica”). To był dla mnie temat najważniejszy. Ale były też rzeczy zabawne. Kiedyś na spotkaniu na temat Rawy ówczesny dyrektor wodociągów Tadeusz Zuber opowiedział historię, która się wydarzyła w czasie powstawania katowickiego hotelu „Warszawa”. Otóż zagraniczni inwestorzy, kiedy obejrzyli plany, strasznie się ucieszyli, że w pobliżu jest rzeka: „riwer Rawa!”. To wspaniale, wykrzykneli. Użyłam tego jako tytułu do swojego tekstu w *Życiu Gospodarczym*.

– Dziękuję za rozmowę, jesteście dumni, że od lat piszesz dla nas.

– Uważam, że Śląsk to bardzo mądre pismo i myślę, że moje teksty ekologiczne tu opublikowane mogą być w przyszłości przydatne do analizy sytuacji ekologicznej w regionie.